Cena pojedyn..eg. Nr. 50 gr.
Rok VI. Radom, grudzień 1929 r. Nr. 3.

FILARETA

MIESIĘCZNIK K. M. „FILARECJA" GIMN. PAŃSTW. IM. J. KOCHANOWSKIEGO w RADOMIU.

DLA CIEBIE, POLSKO, i DLA TWOJEJ CHWAŁY!

OD REDAKCJI.

Z powodu ujawnienia się dwu kierunków literackich w naszej szkole okazało się rzeczą najlepszą i najbardziej celową podzielenie numeru na dwie samoistne i niezależne od siebie części. W ten sposób tak jedna jak i druga grupa, niekrępowana sądem kolegów, posługujących się innemi niż oni miarami oceny, może dać to, co ma w dorobku, zdaniem swojem, najlepszego.

W związku z tem ogłaszamy ankietę na temat: „która z tych części bardziej się czytelnikom podoba", prosząc o nadsyłanie odpowiedzi pod adresem redakcji.

Druga z tych grup zajęła się sprawą, obchodzącą obecnie żywo cały świat cywilizowany. Sprawa ta jednak została rozpatrzona z jednego tylko punktu widzenia, wobec tego redakcja ogłasza konkurs na pracę kolegów (nietylko naszego gimnazjum, lecz i innych szkół średnich), oświetlającą rzecz z innej strony.

Najlepszy artykuł będzie drukowany w „Filarecie" i nagrodzony zbiorkiem poezyj Leopolda Staffa p. t. „Tęcza łez i krwi". REDAKCJA.

W. BOROWSKI kl. VII.

Brodziński, jako pierwszy romantyk polski.

(Dokończenie)

Artykuł ten był wyświetleniem niewłaściwości zdań Śniadeckiego, ale nie był na nie odpowiedzią.

Mimo dużej dozy chwiejności znać tu, że Brodziński kieruje się ku romantyzmowi, i tylko wpływy wychowania i przebywania wśród klasyków nie pozwoliły mu zupełnie szczerze zdań swych wyrazić; a charakter spokojny i cichy, pragnący zgody za wszelką cenę, dyktował mu słowa, nakłaniające dwa wrogie obozy do wspólnej, zgodnej pracy. To są główne rozprawy Brodzińskiego, w innych, mniejszych, rozwijał tezy swe tylko w drobnych szczegółach i stosował do rozmaitych rodzajów literackich. Główną ich cechą jest wyrażenie potrzeby głębszej nauki w narodach słowiańskich, jednak bez suchej erudycji, prawił o obowiązkach, religji, narodowości i t. d. W r. 1822 został profesorem „krytycznej historji literatury polskiej” Obowiązki te pełnił aż do r. 1831, to jest do zamknięcia uniwersytetu warszawskiego.

Sumienne przygotowywanie się do wykładów zajmowało mu wiele czasu, cierpiała też jego twórczość.

Rozpatrzmy teraz jego działalność literacką pod kątem zdań jego własnych.

Zaznaczyć tu wypada, że w praktyce był on romantykiem o wiele mniej niż w teorji, wpływa na to po większej części wrodzona nieśmiałość, która nie pozwalała mu tego, co czuł, wyrażać w piśmie.

Poezje jego, pisane od 1818 r., są początkowo czysto klasyczne, jednak już w 1819 roku zaczynają odzywać się prądy romantyczne, jak np. w „Oldynie”. Jest to sielanka, utrzymana w tonie pseudoklasycznym, bohaterka jednak, której męża zaraz po ślubie zabrali Austrjacy na wojnę, nie spełnia wszelkich przepisów konwencjonalnych, bolejąc nad stratą męża, nie żyje w marzycielskiem próżniactwie, ale pracuje: poznajemy ją w chwili, gdy chróst z lasu niosąc, klęka przed Matką Boską Bolejącą i modli się.

Najbardziej jednak wykończoną jego sielanką, stojącą, rzec można, na pograniczu klasyczności i romantyczności, jest „Wiesław”.

Po mistrzowsku maluje tam Kazimierz charaktery, które

wszędzie zachowują swoją indywidualność, nie tracąc jednak cech wspólnych, których wśród ludu jest więcej niż wśród wyższych warstw społeczeństwa. Rozpatrzmy tę sielankę z punktu widzenia romantyka. Znajdujemy tam bardzo silnie zaakcentowany pierwiastek uczucia, toż prawie cała akcja toczy się około miłości Wiesława i Haliny. To pierwszy plus. Następnie wprowadzona jest ludowość, i to ludowość nie fałszywa, manierowana, klasyczna, a ludowość szczera, realna, taka jaką była naprawdę. Lud widzimy tam taki, na jaki patrzał Brodziński w swojej młodości, a więc lud żywy (istotny), a nie nakręcone manekiny, które porusza sprężyna pisarza.

Odstąpił też Brodziński od jedności miejsca, zachowując jednak jedność akcji i czasu, co stało się nawet kosztem prawdo podobieństwa, gdyż trudno przypuścić, żeby Wiesław natychmiast po zobaczeniu Haliny zdawał sobie tak dokładnie sprawę ze swych uczuć, że chciał porzucić dom opiekunów, byle tylko być blisko niej, i nie żenić się z Broniką, żeby Stanisław tak prędko ustąpił i zgodził się na rady Jana, a ten momentalnie łapał kij i czapkę i jechał w swaty.

Forma sielanki mimo drobnych usterek jest klasyczna.

Dalsze jego zasługi dla romantyczności to przekład Walter Skotta (Pieśń ostatniego barda w r. 1821) oraz przekład „Cierpień młodego Werthera” Goethego. Temi tłumaczeniami on pierwszy zaznajomił Polaków z dwoma filarami romantyzmu, w Anglji i Niemczech.

On to, pragnąc zwrotu ku słowiańszczyźnie, przetłumaczył wiele pieśni słowiańskich, a nawet sięgnął po litewskie.

To są jego zasługi jako romantyka. Co do niego samego, trudno powiedzieć, czy był romantykiem; jeśli będziemy sądzić go bardzo szczegółowo, to powiedzieć musimy, że nie. W szerszem jednak znaczeniu, uwzględniając jego zapatrywania i zasługi, w określeniu, jakie on sam dał romantyczności, powiemy „romantykiem był”.

Ogólnie biorąc, najtrafniejszem wydaje mi się określenie, jakie dał mu Brückner, mówiąc „Był to Jan Chrzciciel romantyczności“. Tak jak ów przygotował świat na przyjęcie Chrystusa, tak Brodziński przygotował umysły Polaków do przyjęcia nowego prądu literatury, prądu, który się zwie romantyzmem.

On to przecież pierwszy zajął się ludem, pierwszy złamał prawo trzech jedności, kategorycznie zażądał zerwania z francuszczyzną, a zwrócił umysł ku Schillerowi i Goethemu, on pierwszy zajął się Walter Skottem i w Polsce go rozpowszechnił.

Widzimy więc, jak wielkie, jak wszechstronne są jego zasługi względem romantyczności, słusznie więc należy mu się tytuł „pierwszego romantyka polskiego".

DZIAŁ PROMIENISTYCH.

Ach, ten telefon...

Ryśka, pochylona nad wywoływaczem i kliszami, z zapartym oddechem oczekiwała ukazania się obrazu. Co jabym dała, żeby to zdjęcie było dobre, myślała, mogłabym nareszcie z lekceważeniem spojrzeć na „kogoś". I zaczyna myśleć, co onaby dała rzeczywiście, ale nie mogąc znaleźć nic odpowiedniego, chce myśleć o czemś innem. Nagle rozlega się głośny, denerwujący głos dzwonka... to telefon... Ryśką niemile wstrząsnął ten dźwięk, nie zważa nań jednak, co tam taki telefon dla początkującej amatorki - fotografistki wobec powoli występującego obrazu na kliszy.

Ach nareszcie, odetchnęła z ulgą, nareszcie uwierzę w moją umiejętność fotografowania, a Henek pęknie chyba ze złości, gdy się okaże, że słuszność tym razem będzie po mojej stronie. Niegodziwiec, zawsze mi dowodził, że nigdy nie dojdę do możliwej, przez siebie wykonanej, fotografji. A po chwili .. pęknie? no lepiej, żeby nie, bo nawiasem mówiąc, to wobec takiego zakończenia to... to wolałabym mu już wcale nie pokazywać tej fotografji. Jakie to jednak na nim zrobi wrażenie? ano zobaczymy.

Tę chwilę, pełną najlepszych myśli i domysłów, przerywa ostry głos pani B. Ryśko, przyjm telefon, ktoś dzwoni do ciebie. Któż tam? Pani B. wymieniła numer. Ach, od Niny, nie miała jej też kiedy przyjść chęć do rozmowy, myślała, z żalem spoglądając na kliszę i biorąc słuchawkę.

Hallo! kto mówi? Wymieniono numer telefonu Niny

Dobrze, ale to nie Nina mówi, któż więc? Panno Ryśko, Nina jest chora, zasłabła dziś, nagle, chwilami traci przytomność, prosi, aby pani przyszła, bo chce jej coś powiedzieć, proszę nie odmawiać — mówił ktoś prędko i bezładnie.

I nic więcej...

Co robić? iść do niej, kiedy, bo tak daleko . a może ona naprawdę taka chora?

Ma mi coś powiedzieć... pewnie jakaś tajemnica, może zwierzenia? Oczy Ryśki zabłysły na moment.

No, a moje fotografje? — cichutko odezwał się egoizm. Wreszcie idzie do matki po radę. Ano idź, idź, mówi pani B. mówisz, że chora, bardzo nawet, idź, w takich wypadkach nie można zwlekać. Ryśka, kładąc palto, raz jeszcze spojrzała na klisze i wyszła, przez chwilę tylko jeszcze słychać było jej szybkie kroki na schodach i ulicy. Idąc, Ryśka wciąż myśli o przyjaciółce...

Co jej się stać mogło tak nagle. Wczoraj była w szkole, widziałam ją przecież. W duszy Ryśki budzi się obawa o Ninę, a jednocześnie wzrasta ciekawość usłyszenia jakiejś tajemnicy.

Była zadowolona i dumna z tego, że Nina ją właśnie, a nie kogo innego miała obdarzyć swem zaufaniem.

Na Lubelskiej spotkała Wigę. Gdzie tak pędzisz? pyta spotkana.

— Nie wiesz, co się dzieje z Niną?

— *Z* Niną, a cóż ma się z nią dziać? zdziwiła się Wiga.

– Przecież ona chora, nieprzytomna, no dowidzenia, bo nie mam czasu, idę do niej.

— Tymczasem Nina, jak najzdrowsza zresztą, w tej właśnie chwili stała ze znudzoną miną przed krawcową. Ach to mierzenie! Przyjemnie jest mieć ładną sukienkę, ale to mierzenie, ta krawcowa, i to nieszczęsne „raz dookoła“, jak manekin, dla sprawdzenia cyrkla, darujcie, ale to okropne, gdy się tego nie lubi! Myślę, że chyba za długa ta sukienka, odzywa się krawcowa głosem monotonnym jak turkot maszyny.

I ja tak myślę, odpowiada Nina, ziewając ukradkiem.

A może dobra? pyta monotonny głos.

Może dobra, odpowiada machinalnie Nina, myśląc jednocześnie, że ładna jesień w tym roku. Potem spogląda na małą

fotografję, stojącą na biurku, wreszcie wzrok jej biegnie ku oknu. Nagle... Ryśka do mnie? teraz? zastanowiło ją to na chwilę, ale potem rada, że mierzenie sukienki będzie czemś urozmaicone, w jednym tylko rękawie pobiegła szybko otworzyć drzwi Ryśce.

Jakto, Nina, Tyś zdrowa? Na twarzy Ryśki uwidoczniło się zdziwienie, krótka radość, a potem rozczarowanie, więc żadnych zwierzeń, żadnych tajemnic!

Teraz z kolei Nina poczyna się dziwić.

Czym zdrowa? dobre sobie, cóż to ma znaczyć? widzisz chyba, że stoję przed tobą i chyba nie od rzeczy mówię!

W krótkich słowach Ryśka opowiedziała przyjaciółce całe zdarzenie, potem długo myślały, kto mógł być jego przyczyną, wzruszone zgodziły się na jedno, padł wyrok, ale na kogo?... — zamilczę.

Za chwilę znów ozwał się dzwonek telefonu. Pewnie drugi akt tej komedji, pomyślała Nina i nie omyliła się Dzwoniła p. B. Nina wymieniła swe imię, i oto słyszy: To niemożliwe, przecież ona chora, nieprzytomna. Biedna „chora" musiała się usprawiedliwiać i długo tłumaczyć.

Niegroźny był koniec wymyślonej choroby Niny i całego zajścia. Ryśka tylko wróciła mocno niezadowolona, nie dowiedziała się żadnych tajemnic, straciła wiele tak cennego czasu dla fotografistki, a wszystko przez ten telefon.

Ach, ten telefon — myślała niezadowolona.

l.

Gimnazjum Żeńskie im. M. Gail.

WE ŚNIE.

Gdy noc ciemna obejmie świat cały,
Człowiek w ciche snu idzie objęcia,
Przed nim wizji obraz przewspaniały
Wstaje, jak na cud — wróżki zaklęcia...

Snują się piękne wschody, zachody,
Snuje się głogów szata różowa,
Śnią się w kniei obalone kłody
I dźwięcząca wśród gaju podkowa...

To myśliwskie gdzieś trąbki zadzwonią,
To znów zeschłym wiatr liściem szeleści...
W ogródku róże ogniem się płonią,
To motyl z wonnym kwiatem się pieści...

Na wyraju mogiłki pod lasem
Cudną wonią róż białych owiane...
To wesele pędzące z hałasem:
Rżnie muzyka, koniki shasane...

To księżyca poświata w noc letnią,
Na polance rusałek znów pląsy,
Z pszczół muzyką i komarów fletnią,
Błysk świetlików... To burzy znów dąsy...

Czasem śniegu biel, granie, zabawa,
Radość serce rozpiera przemożna...
To żal duszę stęsknioną napawa,
Z smętnych dumań nadleci myśl trwożna...

Czasem żal mi, że ze snu się zbudzę,
Bo to życie jest inne i szare..
Choć i z życia też szczęście wyłudzę,
By tak cudne, jak przeszłych chwil parę!

JEŻMAJ.

Z wakacyjnych łowów.

Skwarny letni dzień. Poczciwy Fordzio niesie nas z zakurzonego miasta poprzez łany z żętego zboża. Wkrótce dojeżdżamy na miejsce. Lekki wiaterek marszczy powierzchnię wody. Wita nas bardzo serdecznie stary, brodaty rybak, więc składamy flinty i idziemy. Moi starsi towarzysze idą groblami, ale ja włażę odrazu w wodę, że to w wodzie najłatwiej spotkać się z kaczką. Woda cieplutka i niegłęboka, więc mogę swobodnie poruszać się. Jakoś nic się nie wyrywa. Dochodzę już prawie do drugiej grobli, gdy wtem z prawej strony wyjeżdża mi prosto pod słońce ogromna krzyżówa. Walę do niej z „rzutu“ [1]) i kacz-

[1]) natychmiastowy strzał.

ka jak kamień leci w wodę. Uważnie patrzę, gdzie spadła, pamiętny na kilkanaście kaczek, zgubionych w szuwarach. Tym razem znajduję ją bez trudu, więc przytraczam z wielkim szykiem do torby i wychodzę na groblę. Teraz idziemy wszyscy razem do stawu, gdzie podobno ma być mnóstwo kaczek. Ano zobaczymy. Rozeszliśmy się po otaczającej staw grobli; każdy sobie obrał stanowisko. Stanąłem sobie pod krzakiem wierzbiny i czekam, przede mną i za mną las trzcin. Tymczasem kilku chłopaków weszło do stawu i zaczyna hałasować. Odrazu zrywa się kilkanaście kaczek; wzbiwszy się w górę, przeleciały przez linję myśliwych. Co chwila zrywają się stadka bystrych cyranek. Tu i owdzie śmigają bekasy. Z kilku stron odezwały się strzały. Wtem kilka kaczek, zatoczywszy koło, leci prosto na mnie. Kurczowo ściskam strzelbę, już, już nadlatują. Bęc! Bęc! nic nie spadło, z żałością spoglądam za pośpiesznie odlatującemi ptakami. Za chwilę znowu jakaś samotna kaczka leci.

Staram się mierzyć spokojnie.

Błysk! Huk! Hurra, jest Rzucam strzelbę i skaczę do wody, rozglądam się na prawo i na lewo, co u licha! niema jej. Wtem tuż koło mnie zabulgotała woda. Ach, to moja kaczka tak nurkuje, cap ją za łeb i na brzeg.

Teraz się zaczęło używanie.

Co chwila wielkie krzyżówki wyrywały się z trzcin z głośnym łopotem Cyranki, podgorzałki, kuliki i bekasy.

Wszystko to pomieszane, spłoszone krąży nad głową, a ja ledwo zdążyłem zmienić ładunki.

Huk, dym, plusk, pierze się sypie, kaczki spadają, albo pośpiesznie odlatują, w człowieku serce fika koziołki z wielkiej uciechy

Ma się rozumieć, że w takim zapale niewszystkie strzały były celne, ale mimo to okazało się, że mam najwięcej zwierzyny. I wystrzelonych ładunków także No ale „kto sieje, ten zbiera”. Dzień się miał ku końcowi, a mieliśmy iść jeszcze na zloty, więc po krótkim odpoczynku i przekąsce wyruszyliśmy na stanowiska

Tarcza słońca pogrążała się zwolna na widnokręgu. Woda mieniła się całą gamą barw i zaczęła powoli ciemnieć. Z odległych pastwisk dochodziła piosnka chłopaka, zaganiającego bydło Zapadał zmierzch. Na stawach rozpoczęły się ptasie

rozhowory, tuż nad głową przemknęło z szumem stado czajek, zawodząc żałośnie.

Gdzieś woddali zahuczał bąk, w trzcinach i murawach słychać było chlupotanie i plusk zapadającego ptactwa. Wtem na jasnem tle nieba ukazał się sznur czapli. Płynęły wolno, majestatycznie, miarowo poruszając skrzydłami. Prowadziłem za niemi wzrokiem, dopóki nie rozpłynęły się woddali. Powoli stawy cichły, gdzie niegdzie jeszcze zakwilił kulik lub kszyk i umilkł. Nagle od strony łąk zabrzmiał strzał. Baczność! Cały zamieniłem się we wzrok i słuch. Po kilku chwilach usłyszałem charakterystyczny świst skrzydeł i o jakie 40 kroków ode mnie ujrzałem kilka ciemnych punktów szybko lecących. Cel — pal. Błysk strzału i ptak, załamawszy się w powietrzu, osunął się na murawę Z kilku stron odezwały się strzały, kaczki ciągnęły dość licznie. Niedaleko ode mnie zapadł z hałasem i kwakaniem kaczor, z powodu ciemności wcale go nie zauważyłem. Wreszcie zrobiło się zupełnie ciemno, więc schodzimy ze stanowisk.

Polowanie udało się w zupełności, więc każdy wesół i zadowolony. Jeden przez drugiego opowiada prawdopodobne i nieprawdopodobne przygody, kawały sypią się jak z rękawa. Uciekamy jednak szybko do mieszkania, bo się zrobiło chłodno, no i komary dały się nam porządnie we znaki.

— — — — — — — — — — — — — — —

Ileż czaru mają w sobie takie wieczorne zloty, ileż najmilszych chwil zawdzięczam im, ale tylko ten to zrozumie, kto sam ze strzelbą w ręku i z bijącem sercem stał na stanowisku wśród wodnych roztoczy w blaskach wieczornych zórz.

Borowski W. Vl.

Pierwszy śnieg.

Cicho sobie lecą pierwsze gwiazdki śniegu.
Padają łagodnie na tę szarą ziemię,
Zdobiąc w biały całun bezkreśny, bez brzegu,
Tkając dla niej nowe puszyste odzienie.

Biały śnieżek pada na pola i lasy,
Świeże igły sosny pod nim się już kryją,
Obciążone śniegiem, pewne swojej krasy,
Że pod trenem śniegu na nowo ożyją.

Wesoło też pada na ulice miasta,
Które, tonąc w bieli, daje urok inny.
A szata puchowa wciąż jeszcze przyrasta,
Dźwięczne dzwonki sanek hymn głoszą dziękczynny.

JÓZEK.

Zapalony szachista.

Lekcje starego Waltera cieszyły się u wszystkich uczniów niezwykłem powodzeniem, a to z tego względu, że na nich zapominano o szkole i o „dwójach". To też nie pytano kolegów „zegarmistrzów", za ile dzwonek, nie wyciągano zeszytów i książek, nie uważano, co „stary" mówi, a odgłos dzwonka na przerwę, kiedy indziej tak upragniony, przyjmowano z niezadowoleniem i żalem za mile przepędzonym czasem. Tego dnia, jak zwykle, Walter zasiadł z powagą za katedrą i zaczął wykładać lekcję historji o Azji i wojnie japońsko-rosyjskiej. W klasie panował nastrój bardziej niż wesoły i swobodny. Uczniowie, siedzący w pierwszych ławkach, mając najniewygodniejsze miejsce ze względu na bliskie sąsiedztwo z katedrą, musieli bacznie uważać, by „stary" nie dojrzał ich książek pod pulpitami i nie przeszkodził przypadkiem ciekawej lekturze. W dalszych jednak ławkach ruchy i zachowanie uczni były bardziej naturalne i swobodne, o czem świadczyły częste wybuchy śmiechu oraz różne międzyławkowe spacery. Jedni rozprawiali o jakiemś „salto mortale" z ostatniego przedstawienia cyrkowego, drudzy rozkoszowali się „różnemi kawałami", inni wreszcie duskutowali na temat nieśmiertelności duszy u zwierząt. Niepoślednią rolę odgrywał Józek Głowiński, zapalony szachista, który z swą wędrowną szachownicą chodził z miejsca na miejsce z matami i po maty.

Właśnie rozgrywał emocjonującą partję z Kamińskim, który podobno pobił przed kilkoma dniami swego wujka, świetnego szachistę, gdy profesor, wymawiając słowa „Azja ma centralne położenie", spostrzegł, że Józek zajęty jest czem innem i kręci się na ławce. Dlatego natychmiast zawołał: Głowiński, powtórz co powiedziałem!

Na grad szturchańców ze strony kolegòw, którzy go w ten delikatny sposób zawiadamiali o pytaniu, Józek wstał i nie wiedząc, o co chodzi, wytężył słuch. Zaraz go doszły zbawienne szepty, podchwytując więc słowa „Azja ma centralne..." odpowiedział śmiało:

— Azja ma centralne ogrzewanie!

Czy głośny śmiech kolegów, towarzyszący słowom Józka, zagłuszył to „ogrzewanie", czy może co innego, dość, że stary pedagog powiedział tylko przeciągle: Dobrze, siadaj! Józek zabrał się znowu do partji. Profesor tymczasem, przeszedłszy od geografji Azji do przebiegu samej wojny japońsko-rosyjskiej, zaczął rozwodzić się wreszcie nad klęską Rosji.

Jòzek zaś znajdował się w opałach, gdyż król jego już dogorywał. Właśnie w czasie tej agonji jeden z uczni powtarzał, wykład profesora i na pytanie „jaki był wynik wojny dla Rosji" odpowiedziai jednem słowem „przegrana".

Głowiński, sądząc, że to któryś z przypatrujących się partji kolegów powiedział tak z rozmysłem, by mu dokuczyć, rozgniewany uderzył pięścią w ławkę i krzyknął głośno:

A nieprawda, bo ja jeszcze wygram!

Zdziwiony profesor był już przy nim. Przegrana była podwójna. Epilog ciekawej partji szachowej odbył się w gabinecie dyrektora.

Krzyżtoforski, kl. V.

Okres się kończy...

Okres się kończy... każdy się biedzi
Z nawałem pracy, a w lęku ducha
Po nocach całych nad książką siedzi,
Żadnym nowinkom nie dając ucha.

I nie obaczysz „Ajaksa" twarzy,
Stąpającego w ulicy tłumie,
I Jurek o swej „lubej" nie marzy,
Każdy powagę chwili rozumie.

„Mieszko sędziwy", ten druh nasz stary,
Jakoś spochmurniał — mina nietęga.
Każdy już pędni ostatkiem pary,
Bo wszystkich gniecie czasu potęga.

„Dziad" chodzi wkółko i dziwnie mruczy,
Pewnie pod nosem godzinki śpiewa.
„Szczęka" się ciągle łaciny uczy,
A „Józek Kusy" jak zwykle ziewa.

„Antoś Buforek" — „Bryfcikiem" zwany —
Skrzętnie okruchy wiedzy studjuje.
Mały „Generał", nasz wódz kochany,
Już z młodszą bracią rzadziej wojuje.

„Leon" z „Satyrem", klasowe asy,
Ciągle się swarzą, jak dwa retory
Nie chcą szanować powagi klasy.
Prowadzą wiecznie gorące spory.

Jan — człek-ludojad — wiele on znaczy,
On — niecny sprawca figla każdego.
Kto ciekaw, niechaj „Gronia" obaczy,
Człowieka — powiem — nieprzeciętnego.

Znajdziesz też u nas dzielnego męża,
Związany wielce z pokoju cnotą,
Który swe wszystkie siły wytęża,
Aby pozyskać ludzi z ochotą.

A w czasie przerwy jęczące głosy
Jeno usłyszysz — jakby w Tartarze,
Aż z przerażenia stają ci włosy,
Z trwogą poglądasz na blade twarze.

I. K.

Coś na temat zabawy.

(Humoreska)

— Maniuś! Gdzież się tak wybierasz?
— Na zabawę.
— Godne kawałki opowiadasz. Ty i zabawa. Cha! Cha!
— No to zobaczysz.

I rzeczywiście, ku wielkiemu mojemu zdumieniu, poszedł on na zabawę.

Sztywny, bez możności obracania głowy na swym kręgu szczytowym z powodu zbyt twardego kołnierzyka, z rękoma schowanemi w długie mankiety z kantami ostremi jak brzytwa — poszedł.

Poszedł i nie wrócił, aż dopiero późno w noc.

Przypatrzmy się, co tam zdziałał.

Najpierw sobie stanął pod ścianą i czekał cierpliwie, aż się sala napełni. W tłoku przecież łatwiej się ruszać.

Terpsychora nie była mu dotąd łaskawą. Nie znał jej misternych sztuczek, kroczków, wyłamańców i innych cudowności.

Teraz zaś, jako że jest już w klasie ósmej, a i golić się potrzebuje też, odważył się na takową ekstrawagancję.

Z dziką rozkoszą patrzał na pary, migające mu przed oczyma, a paszczę to otwierał tak szeroko, jakgdyby tamtędy miał mu wejść dryg do nóg.

Wreszcie poczęło go kusić.

Pod ścianą siedziały rzędem „one", gotowe do tańca, tylko brać; a co jedna, to ładniejsza, a co jedna, to ponętniejsza.

— A może tak wziąć i poprosić? — trzasnęła mu w głowie głupia myśl.

Drżąc cały, zaklinając się na wszystkie ideały tego ziemskiego padołu, aby być odważny jako tygrys, nie mógł ustać w miejscu i począł się koło nich kręcić, a wiercić. Przypadkiem potknął się. No! Trudno! Chodzą wypadki po ludziach. Koń ma cztery nogi, a też się czasem potknie. Nasz Maniuś też niby sobie z tego przypadku nie robił, gdyby nie nieoczekiwane jego skutki. Oto, gdy pochylił się, aby naocznie sprawdzić, co mu wlazło pod nogi, jedna z „nich" pomyślała, iż to

z jej przyczyny ten „pan” tak nisko się kłania i z rozbrajającym uśmiechem wstaje i otwiera ramiona.

Uff!

Biedny Maniuś!

Rad nierad musiał puścić się w szalony krąg tanów. A w głowie tak mu się zakręciło, jak on na sali, z tą tylko różnicą, że on miał „coś” pod ręką, a mózg musiał sam się kręcić, bo myśl gdzieś uleciała. Gdzie? daremnie badać; wzrok tam nie sięga.

Mimo tego, a właśnie może dlatego, że tak się stało, wszystko dobrzeby mu poszło, gdyby nie ktoś bezczelny, co mu podstawił stopę pod obcas.

Trzask, krzyk, maleńkie zamieszanie, „przepraszam” — i afera skończona.

Skorzystała z tego chytra córa Ewy i coś rzekła, uśmiechając się mile. On również, zdobiąc swe oblicze w możliwie najmilszy uśmiech, odpowiada:

— Owszem, są chwile w życiu człowieka... Lecz nie było mu sądzone dokończyć tego zdania, bo „ona” nagle przerwała:

— Ach! Pan tańczy, zdaje się, polkę, zamiast walczyka.

— To nic! To tak z serca gorącości...

— Nie rozumiem pana.

Skakali i skakali, aż do upojenia. Nasz Maniuś rozbestwił się na dobre, a potem—o zgrozo! — odprowadził „ją” do domu.

Od tego czasu ciągle gdzieś chodzi, załatwia jakieś interesy, zażywa przechadzek dla zdrowia pożytecznych.

„Maniuś” — powiadam mu czule — „jak mogłeś tak nisko upaść“.

— Kiedy nie mogę wytrzymać bez widoku jej oblicza.

O di boni, rem perditam! O Terpsychoro, co ty z ludźmi wyprawiasz! Quos discipulos habuerimus!

W. T.

SZTUBAK.

Miły, przystojny, był wielkim amantem; dosłownie, „kawaler servanto — galanto!!!”

Mnóstwo czasu trawił nad swą dostojną personą i jeszcze dostojniejszą fizjognomją, polował codzień po południu na znanych szlakach na zwierzynę drobną, średnią lub grubą zależnie od stanu barometru swojego serca, świetnie grał w preferansa, z nadzwyczajnym patosem ukazywał „węgierskie oko“ i z gracją trzaskał pokerem o stół.

Pięknie mu przechodziło życie na tej podłej ziemi, a lekkie tylko burze w postaci okresów rwały gładki jego bieg i zmywały deszczem - statecznych głowę tego szczęśliwego skądinąd człowieka. Lekkie burze — bo znał i na belfrów sposoby.

Najciężej szło mu z dwoma. Ci, jako cerber, na szczęście tylko dwugłowy, strzegli czujnie wstępu do następnej klasy. Nasz zręczny żeglarz przepływał między tą Scyllą i Charybdą, wprawdzie lekkie odnosząc szwanki, ale przepływał i wypływał.

Wił się w śmiertelnych zapasach z matematyką, a za drugą nogę trzymała go łacina, dusząc jak węże Laokoona i mrucząc nieprzyjaznym tonem: „Non permitto, non permitto...”

Z matematykiem szczególnie miał na pieńku. Zaczęło się to od klasówki; pewnego ponurego dnia przyszła ona (bodaj ją trafił...).

Udało mu się rozwiązać jedno zadanie; pewny przeto, że dostanie za to „trzy“, zabrał się do łaciny, nie kosztując drugiego, a w zeszycie napisał: „Głowa mnie boli, nie mogę myśleć...“ To go zgubiło. Chytra hydra pokapowała się na tym fortelu. Po kilku dniach oddaje zeszyty, a do tego miglanta:

„Siroto jedna“ — rzecze — tyś ściągał zadanie.

— Nic podobnego, panie profesorze.

— Połóżmy, że nie Ale cóżeś takie bezecne założenie porobił, a mimo to rozwiązanie niewadliwe. I to jest praca!

— Jakto! panie profesorze. Toć ja całą godzinę pracowałem.

— To co ty do Przytyka jedziesz przez Kraków, Lwów, Warszawę, Wilno i Poznań.

— Panie profesorze, wszystko jedno, którędy się jedzie, byleby zajechać na czas.

— Sziadaj!

Nie koniec awantury. Ten dręczyciel niewinności zebrał moc podpisów całej belfrady, jednogłośnie i zupełnie niesłusznie potępiającej naszego bohatera. I stało się, że w piątek, dnia 13 miesiąca października, śmiałek powędrował na konferencję do najwyższej władzy.

Co dalej było, nie godzi się powiedzieć.

Oto smutny rezultat jednej z wielu, wielu absorbujących go spraw.

Ale koniec końcem, przy zmierzchu roku szkolnego, gdy nadchodzi trzeci okres, bierze on korkę, niby się poprawia i wszystko dobrze.

— Jest na dobrej drodze — orzeka ciało pedagogiczne.

— Spryciarz, sianem się wykręca — twierdzą koledzy.

A on, zadowolony z siebie, pcha dalej korab swego żywota. Byleby prędzej, byleby prędzej przestać się skuwać...

W. T.

„SILVA RERUM".

Dnia 24 listopada 1929 r. staraniem VII-ej klasy pensji p. Gajl odbył się „Wieczór artystyczny", złożony z deklamacyj i śpiewów. Zainteresowanie koncertem było stosunkowo małe. Z pośród jedenastu numerów programu (jeden był anulowany z powodu niedyspozycji artystki) najlepiej wypadł występ chóru klasy VII-ej pod batutą p. prof. Mroczka, oraz melodeklamacje w wykonaniu p. Dąbrowskiej i p. Przegalińskiej

— — — — — — — — — — — — —

Gimnazjum im T. Chałubińskiego wespół z pensją p Gajl wystawia w poście „Balladynę" Słowackiego pod kierownictwem p. prof. Ciąglińskiego.

— — — — — — — — — — — — — — —

Obecnie w średnich szkołach radomskich wychodzi pięć pism: „Ku szczytom" (pensja p. Gajl), „Ku słońcu" (seminarjum żeńskie), „Promień" (seminarjum męskie), „Nasze pismo" (gimnazjum im. T. Chałubińskiego) i „Filareta" (gimnazjum im J. Kochanowskiego).

— — — — — — — — — — — — — — —

Z prawdziwą przyjemnością dowiedzieliśmy się, że V klasa pensji p. Gajl podjęła się zaszczytnej pracy wydawania nowego pisma p. t. „Ku szczytom“. Należy przypuszczać jednak, że V klasa do współpracy powoła resztę swoich koleżanek z innych klas. Numer pierwszy „Ku szczytom” zasługuje zewszechmiar na uznanie.

To prawda, że są pewne w nim drobne braki, lecz cóż więcej można wymagać od pisma szkolnego, redagowanego przez kilkanaście młodocianych uczennic, wśród trudnych warunków materjalnych i małej liczby współpracowniczek. Numer ten cechuje przedewszystkiem wielka szczerość, bezpośredniość i sympatyczna naiwność. Są to prawdziwe walory numeru. Dzieli się on na szereg działów: literacki, naukowy, poezji, kroniki i rozrywek umysłowych. Z artykułów wybija się na pierwszy plan „Miła niespodzianka“, napisany przez „Ninę“. Interesujący ten artykuł, napisany śmiało, odważnie i tak prawdziwie od serca, jest dowodem wielkiego zacięcia literackiego autorki. Utwory poetyckie, pełne szczerości i naiwności, zyskały również sympatję czytelników. A więc młodzież szkół radomskich zyskała jeszcze jeden swój organ, który nie przyniósł nam wstydu, lecz prawie powszechny aplauz i uznanie.

— — — — — — — — — — — — — —

Prawie równocześnie z drugim numerem „Filarety“ wyszedł miesięcznik gimnazjum im. T. Chałubińskiego p. t. „Nasze pismo”. Pismo to ma charakter pisma przedewszystkiem naukowego. Prawdziwą ozdobą numeru, składającego się z 40 stron, jest jedyna (dlaczego tak mało?) nowela p. t. „Wąskie domy“. Pismo to posiada wszelkie szanse rozwoju, a mianowicie: niezależność materjalną i dużą liczbę współpracowników.

— — — — — — — — — — — — — — —

„Filarecja“ liczy obecnie 95 członków, klasa VI trzyma pierwszeństwo, posiadając 26 członków.

— — — — — — — — — — — — — — —

W roku szkolnym 1929 — 30 w komitecie rodzicielskim zaszły pewne zmiany. Prezesem komitetu został p. Rogowski.

— — — — — — — — — — — — — — —

Zabawa „Filarecji“ ma odbyć się 8 lutego 1930 r. w sali szkoły rzemiosł.

Jerzy Olewiński.

DZIAŁ GRUPY DRUGIEJ

Z tym numerem po raz pierwszy występujemy oddzielnie, zapełniając swój dział pracą tylko naszej grupy, okazując nasze dążenia i tematy, które nas interesują. Dajemy swe prace do druku, mając jakiś wyraźny kierunek, jakiś konkretny, zdecydowany cel.

Idea każdego utworu, którego zadaniem jest wywołać reakcję w umyśle czytających, musi być jasna, przejrzysta; każda praca musi mieć swe wyraźne oblicze. Jeśli pisze się, nie mając tematu, to nie pomoże ani szumny i wiele mówiący tytuł lub jeszcze więcej mówiące nazwisko autora,—praca taka jest niczem, to jest woda.

Dlatego też my, chcąc zerwac ze wszystkiem, cokolwiekby krępowało siłę słowa, cokolwiekby zamykało ją w ciasnych ramach szablonu, w niniejszym numerze poruszamy tematy, mające dla nas prawdziwą, żywotną wartość, w ten sposób, aby czytający wiedział, co chcemy powiedzieć, aby po przeczytaniu, nawet nie widząc tytułu, zrozumiał, o co nam chodzi.

Nie umieszczamy podpisów ani tytułów — każda praca posiada tylko swój numer i jest zaznaczona kreską. Treść naszego działu wywoła być może wiele zarzutów, dlatego też, chcąc zaznaczyć, że jesteśmy odpowiedzialni za swoje prace, podajemy razem nazwiska członków naszej grupy: Bednarczyk M., Jasicki I., Majewski L., Maj L , Paluszyński H. i Rdzanek J.

I

Nie jestem w stanie dać wyczerpującego i konsekwentnego rozpatrzenia problemów wojny i pokoju; zagadnienie to jest tak olbrzymie i powszechne, jako dotyczące szczęścia wszystkich ludzi, że wszyscy do jego rozwiązania muszą się przyczynić. Przeto i nas młodych, którzy niezadługo będziemy pionkami na szachownicy dziejów świata, nie powinno tam brakować. Już teraz, w wiośnie młodej, musimy się ustosunkować do zagadnienia wojny i pokoju, wszczepić w siebie to przekonanie, jakie dyktuje nam idealistyczne spojrzenie w życie i przekonanie to zachować mimo zniekształcenia duchowego, jakie później może nastąpić.

Obowiązkiem młodego pokolenia świata cywilizowanego, wolnego od zdeprawowania, jakie sprowadziła wojna na ojców, jest położyć kres zbrodni wojny.

Od tysięcy lat istniało prawo przemocy i gwałtu, które pozwalało silniejszemu uczynić ze słabszego niewolnika, a narodowi, posiadającemu armję zdolniejszą do mordowania, pozbawić inny naród wolności.

W ciągłych walkach minęła starożytność, wieki średnie, nowożytne, a wynikiem ich była niewola klas i narodów. Pogwałcono wrodzoną dążność człowieka do wolności, narzucono mu więzy niewoli, pozbawiono praw człowieczeństwa. Wzrost kultury nie położył kresu temu haniebnemu stanowi. Owszem świat kulturalny pędził bezwolne masy jedne przeciw drugim. Królowie, cesarze, gabinety, narody o największej kulturze były sprawcami wojen.

Uciemiężona ludzkość szamotała się. Powstawały wojny wolnościowe, rewolucje. Na każdy odruch uciemiężonych reakcja odpowiadała nowym gwałtem. I działo się tak wiele razy, tysiące ofiar padło, zniszczono pracę, dobytek wielu pokoleń.

Aż przyszła wreszcie „wojna światowa", na jaką zdobyć się mogła tylko kultura 20-go wieku.

Na wezwanie cesarzy, królów i gabinetów bierne masy pobiegły na wzajemny mord.

Przez cztery lata grzmiały działa, rozlegał się wybuch min, świstały kule, gazy trujące snuły się zdradliwie po ziemi, rozlegały się jęki rannych, rzężenia konających. A świat kulturalny podżegał swoich, a uczeni wymyślali coraz to nowe maszyny, dla zadawania śmierci. Walczono, dopóki starczyło broni i chleba.

Zdemoralizowani, zdziesiątkowani, okaleczeni, niezdolni do pracy powrócili do domów i stanęli wobec widma głodu. Zrozpaczeni rozpalili pożary rewolucji, by ukarać siewców wojny. Absolutyzm przestał istnieć. Zapanowały ustroje demokratyczne, początek sprawiedliwości i pokoju. — Pozostały jednak straszne skutki wojny. Zniszczone warsztaty pracy, tysiące kalek, depresja duchowa, wstręt do pracy — to wszystko sprowadziło na ludzkość straszną nędzę.

Wielkie cierpienia spadły na ludzkość i ta postanowiła położyć kres zbrodni wojny. Z krwi i kości poległych, z ich cier-

pień i łez urodziła się idea pokoju powszechnego. Lecz niewszyscy przejęli się nią.

Zdeprawowani wojną, poniżeni przez los, karjerowicze, szowiniści, różne wyrzutki społeczeństw, ludzie bez etyki stoją na przeszkodzie położenia kresu tym nieszczęściom, jakie sprowadza wojna.

Nawet ludzie o wysokiej kulturze, mający wpływ na bieg wypadków politycznych, do których należą decyzje, grożą wojną, wbrew masowej opinji ludzi pracy. Malkontenci, niezadowoleni z utraty swych praw na rzecz dobra ogólnego, nie chcą się wyrzec myśli o wojnie, któraby mogła pogrzebać ustroje demokratyczne, będące wynikiem dziejów świata.

Do ludzi, którzy pragną szczęścia powszechnego, którzy posiadają poczucie sprawiedliwości, należy praca nad wykorzenieniem zbrodniczych instynktów, które wszczepiło w duszę ludzką długie panowanie prawa przemocy.

Już dziś politycy pracują nad prawnemi podstawami pokoju w organizacji międzynarodowej, „Lidze narodów". Poeci, pisarze, publicyści zajmują się propagandą pokoju. Dzieła, malujące potworność wojny, mają wielki wpływ na czujące dusze ludzkie. Jednym z najpiękniejszych utworów literatury antywojennej jest dzieło pisarza i publicysty niemieckiego Ericha M. Remarque'a p. t. „Na zachodzie bez zmian". Autor przedstawia nam kilku ludzi na froncie. Widzimy ich w atakach, kontratakach, uciekających, w szpitalu i w chwili śmierci. Z tej grupy ostatni pada uczeń, który wstąpił do wojska jako ochotnik. Stan swój podczas wojny maluje w słowach:

„Jestem młody, mam dwadzieścia lat; ale z życia nie znam nic poza rozpaczą, śmiercią i trwogą i spojenia w jeden łańcuch niedorzeczności, płaskości z całą otchłanią cierpień. Widzę, że pędzono jeden naród przec w drugiemu, iż mordują się milcząc nieświadomi, ogłupieni, posłuszni niewinni. Widzę, że najmędrsze mózgi świata wynajdują oręż i słowa, aby wszystko to przedłużyć, uczynić bardziej jeszcze wyrafinowanem. A wraz ze mną widzą to wszyscy młodzieńcy mojego pokolenia tu i tam, na całym świecie, wraz ze mną przeżywa to cała generacja Cóż uczynią nasi ojcowie, gdy powstaniemy kiedyś, staniemy im twarzą w twarz i zażądamy obrachunku?

Czego oczekują od nas, kiedy nadejdzie czas, że nie będzie wojny? Naszem zajęciem poprzez lata było robienie trupów – to był pierwszy zawód w naszem istnieniu. Nasza wiedza ograniczała się do śmierci. Cóż jeszcze ma się stać potem? I co będzie z nami? Gdy powrócimy teraz, będziemy zmęczeni, w ruinie, wypaleni, pozbawieni korzeni, beznadziejni".

Tak się przedstawia stan młodego człowieka, który pod wpływem pięknych słów wstąpił do wojska, pozostała z niego tylko ruina. Książka Remarque'a wywrze wrażenie na każdym, kto posiada coś niecoś z duszy ludzkiej i wleje w niego nienawiść do wojny. Literatura propagandowa szerzy się coraz bardziej i zyskuje coraz więcej zwolenników pokoju. I my młodzi, którym nie imponuje realizm brutalnej przemocy, winniśmy przejąć się ideą pokoju powszechnego i pracować dla ziszczenia jej. My, idący w życie, musimy być przekonani, że ziszczenie go nie jest mrzonką, tem bardziej, że już jest zaczątek w postaci Ligi Narodów. Na młodzież więc obecnego pokolenia całego świata cywilizowanego spada obowiązek zmazania tej hańby, jaka ciąży na kulturze wieków. I szczególnie my, młodzież polska, których ojczyzna padła ofiarą przemocy, winniśmy pracować nad pokojem, który da szczęście i wolność ludzkości

II

Idę, grajek wędrowny, przez pola i wioski.
Ludziom biednym i smutnym piosenki swe daję;
Na twarzy mojej uśmiech jaśnieje beztroski,
Co złą odpędza bolów i rozpaczy zgraję.

Idę przez góry, lasy, w czas słońca czy słoty;
Opowiada mi baśnie wicher, bajarz stary,
Słońce darzy włóczęgę złotemi pieszczoty,
Lub deszcz tysiącem kropel łachman zmywa szary..

Przyjaciel mój jedyny — to kostur sękaty,
On jeden mi pozostał z towarzyszy grona...
Mój Boże! Przed dawnemi jak było to laty!
Poco wspominać? Przeszłość już na wiek stracona.

— — — — — — — — — — — — — — —

Teraz, grajek wędrowny, przez pola i wioski
Idę, biednym i smutnym piosenki swe daję;
Na twarzy mojej uśmiech jaśnieje beztroski,
Co złą odpędza bolów i rozpaczy zgraję.

III Z zawodu był starym kawalerem. Niewielki, okrągły, siwiuteńkie wąsy wielkie nosił, lat na krzyżu swym więcej dźwigał, niż włosów na głowie. Emeryturkę miał maleńką, takież mieszkanko i wiele, wiele sympatji dla lat minionych. Lubiłem go bardzo; chociaż dzieckiem byłem w porównaniu z nim, gawędził ze mną poważnie, gdy go odwiedzałem.

Układał pasjanse i prawił o przeszłości, która mu się lepszą wydawała od chwil przeżywanych. Skarżył się, że młodzież dzisiejsza tak bardzo różni się od dawnej. O! — Ci dawni! Już przeszli, niestety! Widział ich wszystkich, gdy o nich mówił. Lecz życie poszło naprzód, oni zostali. Zostali ci gorący patrjoci, szlachetni idealiści, niezłomni pracownicy niepodległej państwowości. Zostali w wolnej ziemi, często bez krzyży, bez grobów, zapomniani, nieznani...

Ziemia ojczysta — to oni właśnie, oni — to nawóz, na którym wyrosło drzewo wolności.

A Wy?...

„Panie Franciszku! — wtrącałem nieśmiało — myśmy inni, to prawda, ale i życie jest inne.

Myśmy za wojnę odpowiedzieli. I my, choć nas nie było, złożyliśmy ofiarę i odbyli pokutę.

Czemu jesteśmy inni? — Bo z ojców jesteśmy i matek wojennych. — Bo dziećmi jesteśmy wojny.

Gdzie nasze ideały, gdzie zdolności nasze, gdzie uczucia, gdzie ciała nasze mocne i zdrowe? — Na ołtarzu dobra wspólnego, na ołtarzu niepodległości! Oddaliśmy, co mieliśmy najdroższego, choć nas nie było.

I nie powinniście nas potępiać, bo nam krzywdę robicie. Bo myśmy niewinni."

Zamyślał się staruszek i o pasjansach zapominał. Siedzieliśmy w ciszy, on pogrążony w smutnej zadumie, ja w marzeniach młodzieńczych.

Upływały mroczne chwile.

A kiedy żegnaliśmy się serdecznie, powiedział: „Przepraszam Cię, Janku! Niesprawiedliwie Was osądziłem!" — i drzwi szybko za mną zatrzasnął.

IV Ortopedyczny zakład. Siadłem w dużej sali
Pełnej miar gipsowanych na ludzkie boleści.
Wielu ludzi przychodzi: biedni, krzywi, mali,
Ona zawsze cierpliwa, kojąc, wszystkich zmieści.
Smutno mi. Deszcz na dworze ustawicznie pada.
A handlarz na podwórzu „raki“ krzyczy, „raki“.
A gdy ktoś chce je kupić, targuje się, gada,
Że trudno jest mu sprzedać za grosz bylejaki.
Patrzę wprost. Jakiś człowiek z Wilna czy Krakowa
Wyciąga do mnie rękę — miarę na aparat.
Gips z żywą krwią się łączy. Zaczęta rozmowa:
„Za co na nas obydwu spadła taka kara“?
Smutno mi. Deszcz na dworze ustawicznie pada,
A handlarz na podwórzu „raki“ krzyczy, „raki“.
A gdy kto chce je kupić, targuje się, gada,
Że trudno jest mu sprzedać za grosz bylejaki.

V Chryste, daj zwycięstwo!

Z jednej strony pola walki wyskoczyły tysiące żołnierzy, uzbrojonych w karabiny i bagnety. Biegły zdobywać nieprzyjacielskie okopy i mordować znienawidzonych wrogów.

— Chryste, pomóż.

Z przeciwnej strony nadleciały w powietrzu masy kul, niby miljony bagnetòw ostrych i celnych, a niedających się niczem odbić.

Żołnierze padali na ziemię deptani, nieprzytomni.

— O Chryste, za moją krew, za żonę, matkę, ojca, dzieci, zostawione w domu, pomścij!! Niech gardła wrogów pękną, jak rozbite garnki, i bryzgną krwią!! Zwycięstwa!!!

Z przeciwnych stron biegły również tysiące żołnierzy i wołały — Chryste, daj nam zwycięstwo, o daj, Panie nasz!

I z obydwóch stron padały kule za ojczyzny zagrożone, za matki i dzieci osierocone.

— Chryste z nami! Pomścij!! Ratuj!!! Wybaw!!!

I starły się tysiące z tysiącami. I klęknął jeden na drugim, zarzynał swojego wroga, dusił, nienawidził i mordował.

— W imię Chrystusa, na pomoc!!!

I biegły nowe rezerwy.

Olbrzymie pola złachmaniły się trupami i tężały w krwi. I tysiące bagnetów i kul zanurzały się w jednej sekundzie w ciała, tysiące rąk dławiło i tysiące rąk mordowało. Samochody ciężarowe, wozy, pociągi pancerne nadjeżdżały z gwizdem, szumem, hałasem. Rozgrzeszone tysiące żołnierzy strzelały, przegrywały i zwyciężały.

Nastawiono armaty i walono w miasta, domy, ulice, ogrody zbytkowne i w zabytki bezcenne.

— Niech zginie wróg! Dzięki Ci, Chryste!!

Strzelano. W gruzach znalazły się i kościoły zbombardowane i obdarte kulami. W imię Chrystusa, za ojczyznę przecież walczono. Za wolną ojczyznę i wróg się bronił. Rozrywał żelazem wieże kościelne, strącał z wyżyn dzwony i targał liny, na których zwisały.

W raportach odczytywano imiona poległych bohaterów Czyniono to w obu obozach. Kapelani odprawiali msze święte.

I znowu tysiące dusz wędrowały z tego świata i nowi bohaterowie otrzymywali krzyże. Cześć tym bohaterom, którzy w imię Chrystusa walczyli, w imię Chrystusa zabijali wroga, a ratowali swoich rodaków! Cześć im!!

Wojna trwała dalej.

I w obu nieprzyjacielskich krajach wołano — Chryste!! Zwycięstwa!!! Na froncie tanki, floty skrzydlate, okręty zwyciężały, padały, tysiące wdów się mnożyło, miljonom dzieci kazano się modlić do Chrystusa za kraj, za ojców, za zwycięstwo.

— — — — — — — — — — — — — — —

A Chrystus, wisząc ukrzyżowany na miljonach krzyży, zstąpił z jednego z nich i rękami, w których tkwiły jeszcze gwoździe, zakrył uszy swoje. Lecz potem schylił kornie głowę, odjął ręce i począł wyciągać z ziemi, zdejmować ze ścian kościołów, mieszkań i wież krzyże. Aż uczynił się stos ogromny i krwawy. I Chrystus począł wchodzić na wierzchołek tej krzyżowej góry, swej drugiej Golgoty. Szedł, by Go drugi raz ukrzyżowano by Mu gwoździe wbili w ręce i nogi Ci, którzy w imię Chrystusa prowadzą wojny, w imię Chrystusa mordują wrogów swoich!

I wspinał się Chrystus po tej ścianie niebotycznej z krzyżów ułożonej, albowiem nie pojęto Jego nauki.

VI W 1920 roku poeta Wittlin wydał zbiorek poezji p. t. „Hymny“. W utworach, które się w tym zbiorku znajdują, przewija się myśl, że zabijanie wrogów na wojnie jest niesprawiedliwością. Bo cóż winien pojedyńczy człowiek temu, który z zaciekłością go morduje.

Po co istnieje wojna, po co nienawiść rozbudzać między ludźmi, by wzajem się mordowali: Po co?

W jednym z hymnów p. t. „Grzebanie wroga“ poeta staje przed takim faktem: Jednemu człowiekowi każą pogrzebać wroga, który został zakłuty pałaszem.

W tym momencie, kiedy mu dano łopatę do ręki, przychodzą mu refleksje. Nie wie, kto był ów człowiek zabity. Wie tylko, że jest wrogiem, poznaje to po czapce i guzikach. Wróg, ale tak jakoś podobny do jego brata. Jakżeż można grzebać bez bólu tego, który się bratem wydaje.

Grzebać!? Ale wtedy autorowi nasuwa się myśl, dlaczego zginął człowiek, który był dobrym synem, ojcem, mężem, który orał swój zagon, pracował dla siebie i dla innych.

Wódz rozkazał. Wodzowi zaś rozkazał wieść tych ludzi do walki na śmierć król. Królowi rozkazała duma i Bóg. Dlaczego Bóg? Król te szeregi wysyłał w imię Boga. Rozkaz swój motywował Wolą Bożą.

I padłeś w polu ugornem,
bo iść ci kazali wodzowie,
a wodzom kazali królowie,
a królom duma i Bóg.
Od Boga jest wszelka władza,
Na trony króle On sadza.
Przeto mi leżysz u nóg...

Jak wielkie niezrozumienie Boga u ludzi tych, którzy całe masy pchają do wojny, pchają po to, by się człowiek z człowiekiem nienawidził, by mordował bliźnich swoich ludzi! Oto tragedja, która się w duszy człowieka odgrywa, która mu duszę rwie na strzępy wtedy, kiedy stanął tu, by grzebać wroga, który jest tak do jego brata podobny.

Byłaż w tem wola Boża, żeby ten człowiek legł na tem polu ugornem, po to, by granice kraju wrogiego rozciągały się od morza do morza, by przemysł wyzwolił się od ceł. Po to

ginie na wojnie człowiek, który przecież mógł w czasie pokoju z pożytkiem pracować na swoim zagonie.

A z całego takiego jego życia poeta plon zbierze w postaci swoich pieśni.

A pieśni tych będą się uczyć przyszłe pokolenia.

Będą się moi synowie
W szkołach uczyli gorliwie,
Jakom w szlachetnym porywie
Na ornej zatłukł cię niwie.
Niech im to wyjdzie na zdrowie.

Oto tragedja. Czyż to jest godne pamięci w pokoleniu, że człowiek na wojnie zamordował drugiego człowieka? Kto z tej śmierci skorzysta? Ten, kto pchnął tych ludzi do boju.

— A wiesz ty synu chamowy? —
Za cenę ciemnej twej głowy
Królowie mieć będą hołd.

Gdzież nastąpi to zbratanie, tu tylko słowna miłość bliźniego. Tam dopiero, po śmierci. Tam dopiero zapanuje szczęście.

Serce miał strute poeta przy tym trupie. Ale musi być zimnym, bo sam tego nie zmieni.

Tragedja wojny znalazła odbicie w kilku innych hymnach. Poeta to przeżywał, to mu spokoju nie dawało, bolał na tem, aż wreszcie musiał wyrzucić te słowa w chwili, gdy już wojna się skończyła. Wiersz ten stawia Wittlina w rzędzie najwcześniejszych piewców pokoju. On odczuł to nieszczęście, jakie na jednostki sprowadza wojna, jakie chwile muszą one przeżywać, kiedy im przyjdzie mordować bliźnich swoich, których niema powodu nienawidzieć.

On pragnie dla całej ludzkości wyzwolenia z przesądów starego życia, wyzbycia się dawnych wad, pragnie, by miłość bliźniego zapanowała na ziemi, by już nie było wojen nienawiści, by człowiek z człowiekiem żył jak brat z bratem, by nie potrzebował jeden drugiego mordować:

Jeszcze się targam, bo we mnie się skarży
Cała Europa! I we mnie podnosi
Ku niebu ręce ludzkość kajdaniarzy —
I klnie, i krzyczy, i wyje, i prosi,
I prosi, błaga i marzy. — — — *(Przedśpiew)*

VII

Dość już mam zwykłych papierosów.
Idę po lepsze do fabryki.
Siedem kominów to są gilzy,
Z nich wciągać będę dymu łyki.

Przywożę węgiel — czarny tytoń.
Łopatą sypię do komina.
Podpalam, bucha, leci w górę
Mego wyrobu nikotyna.

VIII

Miłość mi rozum, jak ulicznik — bąka,
Puściła w nagły, nieprzytomny taniec.
Wola zamknięta, niby pies w kaganiec,
Coś niewyraźnie i nieśmiało jąka.

Ja się tak bardzo znowu tem nie smucę,
Bo wiem, że bąk ten kręcić się przestanie,
Trzeźwość miłości sprawi tęgie lanie,
A ja swobody znowu pieśń zanucę.

IX

W pewnych sferach istnieje przekonanie, że jeśli jakaś szkoła chce wykazać swą wartość istotną i poziom swej umysłowości, to koniecznie wynikiem i sprawdzianem tego musi być własne pismo. Bo jakże? — Ci mają, tamci mają, a my to co? — rękaw od kamizelki? I naturalnie, jeden z drugim, drugi z trzecim, urządzają sesje, zebrania i nagle okazuje się, że nadmiar żywotnych sił, „rozpierających" poprostu umysły, musi znaleźć ujście w postaci własnego pisma. No, bo to przecież jedyna okazja! Można sobie w takiem piśmidle pogodnie z sentymentem bajdurzyć o trawce, pogodzie, księżycu, szkolnej ławie, wypisywać przeraźliwe bzdury o tem, co było, albo co się komu śniło, a że tam ktoś będzie te wypociny czytał, to już nie obchodzi takiego genjusza. Grunt własne zadowolenie!

Naturalnie, proporcjonalnie do ubóstwa treści każde takie pismo wyszukuje sobie nazwę, odpowiednio wzniosłą, ładnie brzmiącą, ażeby już samym tytułem porazić czytającego. Wybiera się coś takiego szumnego, nastrojowego, jak „ku gwiazdom", „ku słońcu", „ku szczytom", „ku niebu" i Bóg raczy wiedzieć, ku czemu tam jeszcze; pisze się w słowie od redakcji o orłach,

szczytach górskich i przepaściach, grożących nieświadomym, i sprawa załatwiona. Ktoś tam kropnie jakieś sprawozdanie, inny wiersz, a jeszcze inny jakąś niby nowelkę, ale koniecznie ze śpiącymi rycerzami i numer idzie do druku.

Niedawno, będąc u kolegi, zobaczyłem między książkami leżące jakieś pisemko. Był to miesięcznik gimnazjum im. Marji Gajl „Ku szczytom". Wspaniała nazwa pociągnęła mnie i zacząłem czytać po raz trzeci, gdy kolega przerwał mi tę zajmującą lekturę, zabierając mi pismo. Chciałem wczytać się lepiej w te głębie myśli, kryjące się pod tak wspaniałym tytułem, pożyczyłem więc sobie ten numer od innego kolegi i dokończyłem zaczętej pracy.

Miły Boże! Nie chciałbym według kolejności częstować czytelników takiemi kwiatkami, jak „Jeden dzień z życia szkolnego" lub opowiadaniem, jak to jednej panience pokazała się wizja jej sympatji, siedzącej przed lustrem w brudnym kołnierzyku, dlatego też wybiorę to, co jest najbardziej godne uwagi. Jest w tym numerze wierszyk p. t. „Schadzka" z cyklu „Lata -szkolne", w którym autorka opisuje nieszczęśliwą przygodę sztubaka i pensjonarki. Rymy wierszyka nasuwają przypuszczenia, że autorka też musiała być na tej wycieczce, z której sprawozdanie jest na początku numeru, jednak nie zatrzymujmy się na drobnostkach,— poznajmy treść.

Otóż na początku „On" stara się ją przekonać, że to miejsce, którego szukają, jest bezpieczne, jednak widocznie zbyt mało jest wymowny, bo „Ona", bojąc się, czy jaka „belferka" nie odkryje ich, wykrzykuje z emfazą:

Bo jak Boga kocham w niebie,
Żalby było mnie i ciebie,
Gdyby taka pani miła
Razem nas tu zobaczyła

Mocno było to powiedziane, ale tłumaczyć to trzeba zdenerwowaniem i siłą uczucia. Okazuje się jednak, że te obawy są płonne, bo te, jak powiada „on", Janek, miłe panie:

Nigdy tu nie zaglądają,
One park Kościuszki mają,
I Lubelską i Wysoką,
Słowackiego i Szeroką.

Stamtąd wyławiają parki,
Męczą biedne pensjonarki.

Skandal! Co za niesprawiedliwość! Biedactwa kochane — nic też dziwnego, że takiej jednej i drugiej uciśnionej wyrwie się ze zbolałej duszy: „Jak Boga kocham“ lub też coś innego.

Jednak na razie to wszystko jest dobrze; siedzą sobie na ławce, lecą słówka jak motyle. Jadzia się srebrzyście śmieje, ale znów Janek nieprzyzwoicie się zachowuje, bo czyni wrażenie:

Pana kota na pustyni,
Co siedząc pod parasolą (!),
Ważną funkcję spełnia solo

Nic też dziwnego, że księżyc...

...wzbiwszy się wysoko,
Rozszerza zdziwione oko,
Patrząc twarzą przestraszoną
Na tę parkę rozmarzoną.

No bo i jakże tak!? Poprostu granda! Każdyby „przestraszoną twarzą“ patrzał na to, co się tam wyrabiało. Z ulgą też dowiaduje się czytelnik, że winowajców spotyka zasłużona kara, bo oto zjawia się nauczycielka w całej swej grozie:

Twarz belferki gniewem płonie,
Biją przestrzeń długie dłonie,
Usta wrzeszczą gniewne słowa.

Na tem urywa się wątek tej zajmującej opowieści, bo dyskretna autorka nie podaje epilogu, radzi tylko koleżankom, żeby na przyszłość, gdy będą miały schadzki, wybierały lepsze miejsce. Właśnie nieszczęsna owa Jadzia zwierzyła się jej w sekrecie, że ta cała sprawa nie była dla niej przyjemna.

Ja też tak sądzę, ale co winien czytelnik, któremu robi się też nieprzyjemnie przy czytaniu tych przyjemnych skądinąd bzdur? Na kogo to wszystko jeszcze nie działa, to niech sobie przeczyta taką natrojową rzecz, jak „Noc w górach“, albo „Pobojowisko“, w którem autorka opisuje, jak to „spokojnie leżał Polak obok Ukraińca, nie czyniąc sobie żadnej krzywdy“. W istocie, zadziwiająca łagodność, trudno jednak coprawda, żeby sobie robili „krzywdę“ jeszcze po śmierci, choć i to się zdarza. Ja sam słyszałem o jednym takim, co najpierw się otruł, a potem zabił żonę i córkę.

Bywa i tak.

— — — — — — — — — — — — — — —

W końcu listopada ukazał się drugi numer „Naszego pisma". Treść jak zwykle — przytłaczająca poprostu całość powodzią referatów. Z pośród nich uderza najbardziej jeden p. t.: „Jan Henryk Dąbrowski", z cyklu „Wodzowie legjonów". Referat ten ciągnie się już od zeszłego roku, a zapowiadany jest jeszcze dalszy ciąg. Zdaje się, że autor tej pracy nie wyczerpie tematu przed skończeniem szkoły, bo już drugi rok zatrzymuje się na jednej postaci Dąbrowskiego. Nie wiem, czy T. B. jest takim zapalonym miłośnikiem historji, czy też zdaje mu się, że czytelnicy z przyjemnością czytają te jego wywody, jednak z mego punktu widzenia, uważałbym za wskazane poprostu podać, dla tych, którzy się specjalnie historją interesują, dzieła traktujące o tej sprawie, a nie zabierać miejsca. Byłby podwójny pożytek: autor nie trudziłby się tą, tak ciężką zapewne dla niego, pracą, a czytelnik nie byłby zmuszony czytać tych tasiemcowych elukubracyj. Podobną radę możnaby dać autorom „Zdobywcy Atlantyku" i „Sport w kraju". Omawianie tego, co jest każdemu z gazet znane, nie doprowadzi do niczego.

Z pośród tych sprawozdań i referatów odcina się wyraźnie nowelka „Wąskie domy". Poza dobrem opracowaniem stylistycznem, uderza świeżość tematu, wziętego do opisu. Przynajmniej raz napisano w szkolnem piśmie nowelkę bez ckliwego sentymentu, przynajmniej raz spojrzano na tę drugą stronę życia, gdzie niewszystko układa się tak sielsko anielsko, jak to się zwykle pisze.

Tego samego autora jest też wiersz p. t. „Nowy czas". Wiersz zupełnie dobry treściowo i co do formy, czego nie można powiedzieć o drugim p. t. „Do broni", który nie wybija się ponad ogólny, wymagany dla każdego pisemka szkolnego, poziom. Ot — taki sobie wierszyk.

— — — — — — — — — — — — — — —

„Ku słońcu" — miesięcznik młodzieży Państw. Sem. Naucz. Żeńsk. w Radomiu. Na pierwszej stronie widnieje postać żołnierza, wspartego na karabinie, z twarzą przedziwnie wykręconą, czyniącą na czytelniku wrażenie, że żołnierz ten cierpi na kon-

wulsje. Nie wiem, z jakiej przyczyny rysunek ten znalazł się na pierwszej stronie, lecz jeśli to miało być ozdobą numeru, to cel stanowczo chybiony. Jeśli już redakcja niema czem zapełnić tej pierwszej strony, to lepiej byłoby, gdyby zostawiła czysty papier, czytelnik nie traciłby ochoty do życia, patrząc na ten rysunek. Na treść numeru składa się artykuł p. t.: „11 listopada“, humoreska „13 października“, wspomnienie „Z życia harcerek w obozie“, kronika, dalej „Z teki reportera“, a wkońcu doskonała recenzja z ostatniego numeru „Promienia“. Z przyjemnością czyta się, jak autorka rzeczowo, spokojnie punkt za punktem bije przeciwników ich własną bronią. Ta jedna recenja ratuje całość numeru, szarego pozatem i ubogiego. Poezja jest reprezentowana przez jeden wiersz: „Jesienne nastroje“. O tym właśnie wierszu wartoby co powiedzieć. Zaczyna się bardzo minorowo, w dalszym ciągu jest bardzo minorowy i kończy się też bardzo minorowo. Wogóle całość jest opłakana i opłynięta łzami:

> I płacze dziewczę. . i płaczą drzewa, hej!
> Płaczą... I nawet to jesienne zapłakało słońce
> [nad dolą jej.

Jest tam jesienny wiatr, który coś szumi i gada, czego pewno i sama autorka nie może wyrozumieć, jest pieśń pogrzebowa, są i nokturny, użyte są wszelkie rekwizyty karawaniarskiej poezji.

Podpisano: „Łezka, kurs III“.

Jakoś się człowiekowi robi niewyraźnie po przeczytaniu tego. Płaczą drzewa, płacze słońce, cały świat jest pokropiony łzami, czytelnikowi robi się niedobrze i też płacze nad dolą autorki.

Hej!

Kółko gazowe.

Dnia 9 grudnia 1929 roku zawiązało się przy „Filarecji“, na wzór Kółka literackiego, historycznego i fotograficznego, nieistniejące dotychczas „Kółko gazowe“ Kuratorem tego „Kókła“

został inicjator, pan prof. Raczkowski. Zaraz na pierwszem zebraniu obrano zarząd, do którego weszli kol.: Marek Józef — prezes, Rogowski Tadeusz — wiceprezes, Gierycz Sławomir — bibljotekarz, Siedlecki Stefan — sekretarz.

Za cel pracy w „Kółku" postawiono: gruntowne zapoznanie się z wszelkiego rodzaju gazanii, używanemi do walki, z ich działaniem, objawami i skutkami, oraz uświadomienie innych o tej nieuniknionej wojnie gazowej.

Do celu postanowiono zmierzać zapomocą referatow, dyskusyj i bibljoteki na ten cel urządonej, oraz doświadczeń i prób w wagonie gazowym Kol. Dyrekcji Radomskiej. Zebrania postanowiono odbywać co tydzień, w poniedziałek o godzinie 5 p. p. Dotychczas odbyło się dwa zebrania z frekwencją 30 członków, bardziej zainteresowanych tą dziedziną. Pan kurator wygłosił odczyt o wojnie gazowej, jej historji, o walce o byt i egzystencję w naturze, a kol. Rogowski przedstawił ostatnią wojnę gazową, działanie i rodzaje gazów, przypominając grozę wojny, jako nieuniknioną rzeczywistość.

Siedlecki.

Komunikat od Redakcji.

Dotąd nie zgłosił się posiadacz październikowego numeru „Filarety", oznaczonego cyfrą 284. Ponieważ wśród pozostałych kilkudziesięciu egzemplarzy „Filarety" z tego nakładu numer ów nie znajduje się, należy przypuszczać, że posiadacz nie zauważył, że ma prawo do podjęcia wygranej. Ostateczny termin zgłoszenia się naznaczamy na dzień 5 lutego b. r. Po upływie tego terminu redakcja urządzi po raz drugi loterję.

Redaktor naczelny: WITOLD BOROWSKI kl. VII.
Redaktor odpowiedzialny: ANDRZEJ DAŃCZAK.

Zakłady Drukarskie Sejmiku Radomskiego i S-ki 30